Zdaniem adwokata

Wielu wybitnych ludzi jest zdania, że największym wrogiem wiedzy nie jest niewiedza, lecz niedouczenie. Najlepiej zilustrował to Jarosław Haszek w swym ponadczasowym dziele „Przygody Dobrego Wojaka Szwejka". Haszek przytoczył wypowiedź pewnego kaprala z armii austrowęgierskiej, który przeciążony najwyraźniej ogromem materiału, który musiał sobie przyswoić w szkole podoficerskiej, swój stosunek do świata zilustrował wiekopomnym stwierdzeniem: - „I tak już jest za dużo wynalazków wojskowych. Na przykład maski do zatruwania gazami. Naciągniesz sobie taką maskę na głowę i jesteś zatruty, jak to nam wykładali w Unteroffiziersschule". I na nic się zdały słowa pocieszenia ze strony Szwejka, że - „żołnierz nie powinien się bać nigdy i niczego. Gdyby w zapale walki wpadł nawet do latryny, to się tylko obliże i dalej pędzi do gefechtu". - czyli do walki na bagnety.

Gdyby rzeczony kapral był tylko pospolitym nieukiem - jak to powiadała jedna z dawnych profesorek ciechocińskiego liceum, która niejednego nieuka potrafiła uczynić człowiekiem światłym - to nie byłoby problemu. Po prostu człowieka takiego można by było oświecić, ale kogoś, kto się niedouczył, a jest przekonany, że posiadł wszelkie rozumy - uratować się już nie da. I być może dlatego urodzony liberał i nonkonformista - Janusz Korwin Mikke - napisał kiedyś w jednym ze swoich felietonów, że „edukacja ludu nie ma sensu, bo większość z nich to i tak durnie". Diagnoza ta wydaje się mocno kontrowersyjna, ale w niektórych przypadkach sprawdza się niestety, co do joty.

Nie bez znaczenia jest też fakt, z jakich to źródeł ludzie wiedzę swoją czerpią. W okresie burzliwego rozwoju nauk w Europie, zwanego okresem Oświecenia - elity polskie bezkrytycznie czerpały swoją wiedzę o świecie z fundamentalnego dzieła epoki saskiej, będącej symbolem ciemnoty i zacofania, pt. Nowe Ateny. Dzieło to było autorstwa księdza Benedykta Chmielowskiego, a zawarte w nim definicje typu - „koń jaki jest każdy widzi" istotnie, nie porażają intelektem.

Równie miarodajne jak „Nowe Ateny" były źródła, na których opierały się nauki społeczne w tzw. krajach socjalistycznych. Najczęściej sprowadzały się one do propagandowego bełkotu opartego na manipulowaniu faktami i przeplatanego dobranymi ad hoc cytatami z klasyków marksizmu. Po upadku komunizmu w RFN unieważniono wszystkie propagandowe doktoraty wychwalające wbrew faktom nieludzki system społeczny, jaki został narzucony Europie Wschodniej. W Polsce weryfikacji takiej nie przeprowadzono, za to byli partyjni propagandyści mają się lepiej niż dobrze. Przeważnie zmienili poglądy na obecnie obowiązujące, i z zapałem godnym lepszej sprawy propagują rozmaite populistyczno-ksenofobiczne teorie w prasie, radiu i telewizji.

Po wojnie oświata w Polsce przeszła ogromną metamorfozę. Najpierw rządzili ludzie bez wykształcenia, którzy pojęcia o pojęciu nie mieli, ale radę sobie dawali, bo dostawali wytyczne - nad wykonaniem, których czuwał aparat partyjny i Urząd Bezpieczeństwa. Nie zawsze przynosiło to jednak pożądane efekty. I tak, jak projektowano budowę Nowej Huty, a radzieccy planiści zauważyli na mapie, że Kraków leży nad Wisłą, to zaplanowali tam również i port, który po wybudowaniu mógł w najlepszym razie służyć jako przystań wioślarska. By ratować sytuację władze poleciły więc spiętrzyć Wisłę pod wawelskim grodem, co nie poprawiło warunków nawigacyjnych, za to od tego czasu fundamenty zabytkowego Krakowa namakają i chłoną wilgoć. Podczas jednej z powodzi, spiętrzona Wisła omal nie zniosła mostu dębnickiego, wraz z ustawionymi na nim ciężarówkami wypełnionymi żwirem, które obciążając go uratowały od porwania przez wezbrany nurt rzeki.

Aczkolwiek za nieboszczki komuny ludzi wykształconych było początkowo jak na lekarstwo, to jednak polskie uczelnie starały się dostarczyć dla gospodarki niezbędne i jednocześnie dobrze wykwalifikowane kadry, a studiowało się wtedy nielekko. Uczelni wszakże było niewiele, egzaminy wstępne były konkursowe, ilość miejsc ograniczona, a do tego nie wolno było powtarzać pierwszego roku. Z kolei poziom nauczania był taki, że na wielu kierunkach już po pierwszym semestrze robiło się luźno. Studiowało się zatem z mozołem, i co tu kryć, trzeba się było uczyć. Zmuszał do tego surowy regulamin studiów, groźba powołania na dwa lata do wojska gdzie w kość dawali niezgorzej, no i zasada, że repetenci nie otrzymywali stypendiów i miejsc w akademikach. To z tych czasów przetrwała piosenka kabaretu „Elita" - „W akademiku, nas czterech, słoik dżemu, piętrowe łóżka, papierosowy dym..."

Także szkolnictwo powszechne nie pozostawało w tyle, a jak wiadomo - żadnego wykształcenia nie zastąpi dobra szkoła podstawowa. Taką przez lata była między innymi ciechocińska „jedynka" przy ul. Kopernika, w szczególności w czasach, gdy kierował nią dyrektor Kwiatkowski, notabene ojciec znanego poety Janusza Żernickiego.

Absolwenci ciechocińskich podstawówek szturmowali głównie słynne toruńskie zawodówki; mechaniczną przy ul. Strumykowej i budowlankę przy Zjednoczenia. Toruńscy pedagodzy chwalili przygotowanie uczniów z ciechocińskich szkół, ale zwykle narzekali na brak dyscypliny. I nie było w tym żadnej przesady. Wystarczyło się z rana przejechać toruńskim tramwajem nr 4, który wówczas kursował na linii Dworzec Główny - Plac Rapackiego. Tak więc rzeczywiście, chłopakom ze Strumykowej lepiej było nie wchodzić w drogę, a tym z budowlanki też raczej nie. Pozostali absolwenci ciechocińskich podstawówek szli przeważnie do toruńskich techników, do ciechocińskiego liceum, a niektórzy do tak odległych, a zarazem elitarnych szkół, jak np. Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku, Technikum Łączności w Warszawie, Łodzi itp.

Wielką renomą cieszyło się ciechocińskie Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica. Z uwagi na doskonałe warunki w internacie, do ciechocińskiej „Alma Mater", która w tym roku będzie obchodzić swoje sześćdziesięciolecie - ściągała młodzież nie tylko z najbliższych okolic, ale także z Warszawy i innych odległych miast. Poziom ciechocińskiego ogólniaka był zupełnie przyzwoity i zdecydowana większość kandydatów na studia dostawała się bez problemów.

Czasy się zmieniają. Na naszych oczach przybywa uczelni i studentów. Nie przybywa jedynie miejsc pracy. Zjawisko to, oczywiście na różną skalę, występuje we wszystkich

krajach byłego bloku wschodniego, a więc nie tylko w Polsce. Np. w byłym ZSRR było 350 wyższych uczelni. Dzisiaj zaś w samej tylko Rosji jest ich 3500, czyli dziesięciokrotnie więcej. Mało tego. Liczba studentów, którzy zaczynają naukę - odpowiada tam liczbie absolwentów. Czyli, kto studia zaczyna - ten je i kończy. A kończy, bo nowopowstałe uczelnie są zwykle prywatne. Student jest tam towarem. Płaci - więc studiuje, a czy się czegoś przy okazji nauczy? To już wyłącznie jego sprawa. Wygląda na to, że zamiast studiować na jednej z takich uczelni, znacznie taniej jest kupić sobie dyplom na bazarze, ale to z kolei nie zwalnia od wojska. Trzeba więc zapisać się na taką efemeryczną uczelnię, zapłacić za studia i przynajmniej przez jakiś czas mieć spokój, że człowieka nie wyślą do Czeczenii lub Dagestanu.

Przed kilku laty Niemcy ogłosiły na forum międzynarodowym, że są gotowe zatrudnić kilkadziesiąt tysięcy informatyków z innych krajów. Powstaje zatem pytanie, czy Niemcy są tak tępi, że nie mogą wykształcić własnych informatyków? Otóż nie. W Niemczech kandydatów na informatyków jest aż nadto, ale poziom jest tak ustawiony, że niewielu tylko dociera do dyplomu. Przysłowiowa niemiecka dokładność nie toleruje niedouczenia. Być może właśnie, dlatego RFN, kraj niewielki - jest największym eksporterem świata, wyprzedzając w eksporcie USA o blisko 70 miliardów dolarów rocznie. W Niemczech nad dyplomem informatyka trzeba więc sumiennie popracować, gdy tymczasem w wielu krajach postsowieckich dyplom taki można zdobyć niemal psim swędem, na jakiejś powstałej deux ex machina uczelni.

Można się zastanawiać, czy tak gwałtowny wzrost studentów w byłych krajach komunistycznych jest uzasadniony? Odpowiedź jest prosta. Oczywiście, że jest uzasadniony, ale pod warunkiem, że absolwent takiej czy innej uczelni założy potem sobie własną firmę i nabytą na studiach wiedzę z zakresu prawa, zarządzania, inżynierii czy marketingu - wykorzysta na własne potrzeby. Wszak wykształcenie jest przydatne do prowadzenia własnej firmy, przyda się nawet przy smażeniu frytek. Tymczasem wciąż nie brak jest u nas ludzi, którzy uważają, że jeśli ktoś już ukończył studia - to powinien pracować w wyuczonym zawodzie. Pozornie jest to logiczne. Ale powstaje wówczas kolejne pytanie - kto w takim razie powinien go zatrudnić? Państwo?

Nic bardziej błędnego. W krajach o gospodarce rynkowej, tj. w krajach zwanych niegdyś krajami kapitalistycznymi - sektor państwowy jest śladowy. Przeważnie ogranicza się on do administracji państwowej, ale już nie samorządowej, wymiaru sprawiedliwości, obrony oraz częściowo oświaty i spraw wewnętrznych. Właściwym zaś pracodawcą jest gospodarka prywatna, która w zależności od kondycji może wchłonąć większą lub mniejszą ilość absolwentów wyższych uczelni. Dokładnie tylu, na ilu jest zapotrzebowanie.

Jeżeli więc w Polsce liczba lekarzy odpowiada statystycznie ilości lekarzy w krajach wielokrotnie od nas bogatszych, to co zrobić, by poprawić sytuację materialną naszych lekarzy? Sposób jest tylko jeden: zmniejszyć kilkakrotnie ilość lekarzy, by ze środków przeznaczonych w Polsce na lecznictwo mogli oni zarabiać tyle, ile ich koledzy z krajów bogatszych. Jeżeli zaś pozostawimy dotychczasową ich ilość, to w uspołecznionej służbie zdrowia będą oni zawsze zarabiać wielokrotnie mniej niż ich koledzy w Anglii lub Szwajcarii.

Rachunek jest prosty. Polski podatnik jest kilkakrotnie biedniejszy niż podatnik zachodni i nigdy nie będzie w stanie opłacić uspołecznionej służby zdrowia na poziomie szwajcarskim lub niemieckim. A to, że i na Zachodzie lekarze domagają się podwyżek płac - to zjawisko czysto ludzkie. Nie ma bowiem nigdzie takiej grupy zawodowej, która byłaby zadowolona ze swych dochodów. Taka to już jest, ta grzeszna ludzka natura.

Podobnie przedstawia się sprawa z innymi grupami zawodowymi. Za Gierka nie było problemu z zatrudnieniem inżyniera, ekonomisty lub prawnika. Przychodził taki po studiach do jakiegoś zakładu i robotę miał od zaraz. Po prostu dawano mu długopis i papierki do przewracania. Płacono marnie, mniej niż robotnikom zatrudnionym przy produkcji, w związku z czym inteligent taki, o ile nie okazał się geniuszem, to miał dwa wyjścia: Albo zakręcić się koło PZPR i dochrapać się awansu choćby na ministra lub dyrektora, albo pyskować na Polskę Ludową, a w odpowiedniej chwili zapisać się do „Solidarności". Oczywiście istniał jeszcze wariant mieszany; a więc najpierw PZPR, a dopiero po zmianie ustroju, zmiana frontu i zasłużony awans. Kto nie wierzy - niech zajrzy do byle gazety. Na pierwszych stronach aż gęsto od polityków, którzy zaczynali w PZPR, a teraz prezentują najrozmaitsze opcje liberalne, prawicowe, populistyczne wraz z opcją narodowo-klerykalną włącznie.

Obecnie kolejne rządy wciąż walczą z bezrobociem i wymyślają pomysły rodem z „Mosfilmu", np. z filmu „Czapajew". Otóż tytułowy bohater wojny domowej - analfabeta i skończony dureń - uznał, że powinien we własnym zakresie naprawić krzywdy dziejowe ludu, niemającego wcześniej dostępu do tzw. zawodów inteligenckich. W związku z tym postanowił awansować na weterynarza swojego ordynansa - młodzieńca o podobnym jak on wykształceniu. W tym celu wezwał do siebie miejscowych weterynarzy i wymachując im rewolwerem pod nosem powiada: - a wy burżuje, dopuszczacie do zawodu tylko swoich, ale dość tego. Przeegzaminujcie mojego ordynansa i wydajcie mu dyplom weterynarza, tu i teraz, bo inaczej was wszystkich powystrzelam.

Mechanizm powyższy w złagodzonej formie odbił się u nas czkawką w niejednym pomyśle legislacyjnym, np. w dopuszczeniu do niektórych zawodów prawniczych ludzi, bez wymaganej dotychczas aplikacji. Następnym krokiem będzie pewnie pomysł dopuszczenia do operowania serca i ślepej kiszki lekarzy - bez wymaganej wciąż jeszcze specjalizacji, ale pomysł ten zostawmy kolejnej ekipie. Przyda się jako hasło wyborcze w następnej kampanii. A w ogóle to przecież wszystko to „nic to" - jak to powiedział pan Michał Wołodyjowski. Obyśmy więc tylko zdrowi byli.

Dawid Binemann-Zdanowicz

POLKORN
PIEKARNIA
CUKIERNIA
Ciechocinek, ul. Widok 46

CHLEB

BENIAMIN
BORODINSKY
BOROWICKI
CHŁOPSKI, CZARKA
DOMOWY, EURO
FIRMOWY
FIRMOWY SEZAMOWY
FUTBOLOWY
GRAHAMA
ZE SŁONECZNIKIEM
KANAPKOWY
KOŁODZIEJ, KORNEL
KRÓLEWSKI
KUKURYDZIANY
MARMURKOWY
MNICH, OLIMPIJCZYK
OTRĄBKOWY
OWSIANY
RAZOWIEC 6 NASION
RAZOWY NA MIODZIE

RUSTYKALNY
SŁODOWY Z DYNIĄ
SOJOWY
STAROPOLSKI
TOSKANA
ŻYTNI JASNY
SITKOWY
WIEDEŃSKI, GOLUBSKI
KOSZYKOWY
POTRÓJNY
RODZINNY, WIEJSKI
METROWIEC
BAWARSKI, BIWAK
DUŃSKI, FIŃSKI
LITEWSKI
RAZOWY ZE ŚLIWKĄ
ZIARNOWIT
ŚW. FLORIANA
TOSTOWY
WIEJSKI ZIOŁOWY
ZIEMNIACZANY

PIECZYWO
I CIASTKA